

wybitny

polski kompozytor

# PANUFNIK

dyrygent

ceniony na Zachodzie

przemilczany w Kraju



AUTOBIOGRAFIA



## PODZIĘKOWANIA

W przeciwieństwie do mojego wielkiego rodaka Josepha Conrada nigdy nie miałem skłonności pisarskich, a mój angielski po przeszło trzydziestu latach spędzonych w Wielkiej Brytanii nadal jest raczej wątpliwy.

Jednakże przyjaciele przekonywali mnie (niemal terroryzowali), bym napisał tę autobiografię. Ich pytania sprowokowały mnie, abym cofnął się (dość bolesne doświadczenie) do dramatycznych zdarzeń, które zakłóciły mi spokój będący marzeniem każdego kompozytora. Jestem wdzięczny przyjaciom za to, że ich życzliwe zainteresowanie skłoniło mnie do podjęcia tego trudu, dało bodziec do opisania szczegółów życia osobistego i pracy twórczej, które, gdyby nie ich nalegania, zatrzymałbym prawdopodobnie na zawsze dla siebie.

Podziękowania kieruję przede wszystkim do Jenny Pearson, przyjaciółki naszej rodziny, która dwa razy w tygodniu przyjeżdżała na rowerze z Kew do Twickenham, aby pracować ze mną nad kolejnymi nabazgranymi kartkami mojego niewyglądzonego\* (lub zbyt polskiego!) angielskiego. Dzięki jej niebywałej cierpliwości, zdecydowaniu i magicznemu oddziaływaniu na moją gramatykę i ortografię, jak również znakomitej umiejętności pisania na maszynie, moje bazgroły przerodziły się w gotowy tekst. Dziękuję także tym wszystkim, którzy nie szczędzili mi praktycznych uwag ani pomocy: Davidowi Drew, Anthony'emu Hopkinsowi, Bernardowi Jacobsonowi, Janis Susskind i mojemu wydawcy Christopherowi Falkusowi. A najbardziej jestem wdzięczny, oczywiście, mojej żonie Camilli. Bez jej wytrwałej pomocy i cierplivej zachęty nigdy nie odłożyłbym komponowania na czas potrzebny do skończenia tej książki.

\* Gra słów: *Polish* – polski, *polish* – wygładzić, *polished* – wygładzony (wszystkie przypisy niezaznaczone inaczej pochodzą od tłumaczki).





## 1. SKOJARZENI PRZEZ SKRZYPCE

Na początku tego stulecia [xx wieku – przyp. red.] żył w Warszawie pewien młody człowiek, z zawodu inżynier, który pracował jako specjalista w zakresie hydrotechniki, lecz jego prawdziwą pasją było budowanie skrzypiec.

Dnie spędzał w biurze. Zajmował się kopaniem studni i osuszaniem bagien. Natomiast długie bezsenne noce poświęcał na odkrywanie tajemnic siedemnastowiecznych włoskich mistrzów konstruujących skrzypce. Pracownia, w której również mieszkał, pełna była rozmaitego rodzaju metalowych przyborów o dziwacznych kształtach i osobliwych, małych, powyginanych piłek, rysunków, wykresów matematycznych, wzorów chemicznych, kawałków starannie dobranej wyschniętego drewna, instrumentów w różnym stadium wykonania i wreszcie gotowych, pięknych skrzypiec zrobionych według jego projektu.

Był szczupłym, arystokratycznie wyglądającym mężczyzną średniego wzrostu, o kasztanowatych włosach i przystrzyżonych wąsikach, a małe, szare oczy krótkowidza ukrywał często za binoklami. Ubrał się gustownie, z ogromną dbałością o schludny wygląd, i uchodził za przystojnego. Unikał jednak życia towarzyskiego, nigdy nie kontaktował się z sąsiadami. Kiedy mijali



Tomasz Panufnik jako nastolatek (po lewej)  
i dwudziestoletni mężczyzna  
Po lewej: Tomasz i Matylda Panufnikowie



Izydor Lotto

jego drzwi, czuli dziwny zapach lakieru i kleju, słyszeli odgłosy piły, a ponieważ widzieli światło palące się całą noc, patrzyli na niego podejrzliwie, sądząc pewnie, że zajmuje się jakąś średniowieczną alchemią.

Pewnego ranka odwiedziła go niespodziewanie elegancka kobieta w średnim wieku, która otrzymała jego adres od sławnego w Warszawie nauczyciela gry na skrzypcach, profesora Izydora Lotto. Słyszała, że wyrabia znakomite skrzypce, i chciała kupić jedno dla córki.

Młodemu człowiekowi pochlebiało, że jego instrumenty zaczynają być znane. Jednocześnie poczuł się dotknięty, że ktokolwiek mógł przypuszczać, iż robi je na handel. Odpowiedział, że nie jest sprzedawcą, że prowadzi poważne badania naukowe i tylko w tym celu konstruuje modele. Dama była jednak nieustępliwa. Powiedziała grzecznie:

– Moja córka jest bardzo zdolna. To ulubiona uczennica profesora Lotto. Gra wszystkie klasyczne koncerty z pamięci. Musi koniecznie mieć dobry instrument. – Przerwała, aby po chwili dodać, jakby nagle coś ją natchnęło: – Czy mógłby pan przynieść jeden ze swoich instrumentów do profesora Lotto? Moja córka mogłaby zagrać, a pan posłuchałby brzmienia, może wówczas zmieniłby pan zdanie...

Tydzień później w domu profesora Lotto młody człowiek został przedstawiony skrzypaczce, zgrabnej, młodej blondynce o piwnych oczach i jasnej, delikatnej cerze. Jej sposób bycia był bardzo powściągliwy – ktoś obcy mógł go uznać za wyniosły – ale młody człowiek ocenił go jako interesujący. Podał jej instrument. Profesor Lotto usiadł do fortepianu i rozpoczęli *Koncert skrzypcowy* Mendelssohna.

Twórcę skrzypiec oczarowała nie tylko zachwycająca powierzchowność młodej skrzypaczki, lecz również mistrzowskie wykonanie i rozkoszne ciepło tonów, które wydobyła z jego drogiego instrumentu. Poczuł, że lata pracy nie poszły na marne. Kiedy skończył się koncert, nie potrafił znaleźć właściwych słów, by wyrazić swój zachwyt. Profesor Lotto wylew-

nie gratulował mu mistrzowskiej roboty, lecz skrzypaczka, zachowując rezerwę, milczała.

Od tej pory tryb życia młodego człowieka stał się mniej surowy. Otrzymywał i chętnie przyjmował zaproszenia do domu skrzypaczki i jej matki. Był człowiekiem dumnym, jak przystało na Polaka, i nie chciał słyszeć o sprzedaży skrzypiec. Ale kiedy wzajemna sympatia między nim a piękną kobietą doprowadziła do zaręczyn, ofiarował jej skrzypce jako symbol przywiązania, stosowniejszy od pierścionka.

Wkrótce w kościele na Jasnej Górze, przed sławnym obrazem Czarnej Madonny odbył się ich ślub.

Tym uczonym, który konstruował skrzypce, był mój ojciec, a piękną skrzypaczką – moja matka. Można by powiedzieć, że moje przyjście na świat było rezultatem małżeństwa skojarzonego przez skrzypce! Uroczą, elegancką kobietą, która zapoczątkowała łańcuch zdarzeń, była moja najukochańsza babcia, mój anioł stróż; zawdzięczam jej wszystko, co w moim skądinąd samotnym i trudnym dzieciństwie było szczęśliwe i wzniosłe.

Moi rodzice nie byli już młodzi, gdy się pobierali, zwłaszcza według norm obowiązujących w 1909 roku. Czterdziestoczteroletniego ojca uważano za starego kawalera, a dwudziestosiemioletnią matkę za zatwardziałą starą pannę\*. Zanim się spotkali, każde z nich było zdecydowane nigdy nie wiązać się węzłem małżeńskim. Ojciec, mimo słabości do ładnych kobiet, był zdania, że coś tak rozprasającego uwagę nie powinno przeszkadzać mu w pracy nad instrumentami. Moja matka marzyła o studiach w Berlinie, u światowej sławy profesora Carla Flescha, i również obiecała sobie, że będzie unikać więzów rodzinnych, aby muzyka mogła wypełnić całe jej życie. Ulegając pociągowi, jaki do siebie nawzajem czuli, rodzice skazywali się na poświęcenie, które mocno zaważyło na ich małżeństwie (i dzieciach). Niemniej był to związek z miłości.

W podróż poślubną ojciec zabrał swoją żonę na syberyjskie pustkowie, nie w poszukiwaniu dzikich, rozległych przestrzeni, ale dlatego, że rząd carski zatrudnił go do prowadzenia pomiarów terenowych i drążenia studni. Nowożeńcy wyprawili się daleko za Wołgę, podróżując przez niezamieszkałe obszary, gdzie nie było dróg ani drzew, tylko gdzieś niedaleko widniały kępy krzewów. Mijane tereny przypominały pusty-

\* Zgodnie z dokumentami Panufnikowie zawarli małżeństwo 19.01.1908. Tomasz miał wtedy 32 lata, a Matylda 28 (przyp. red.).





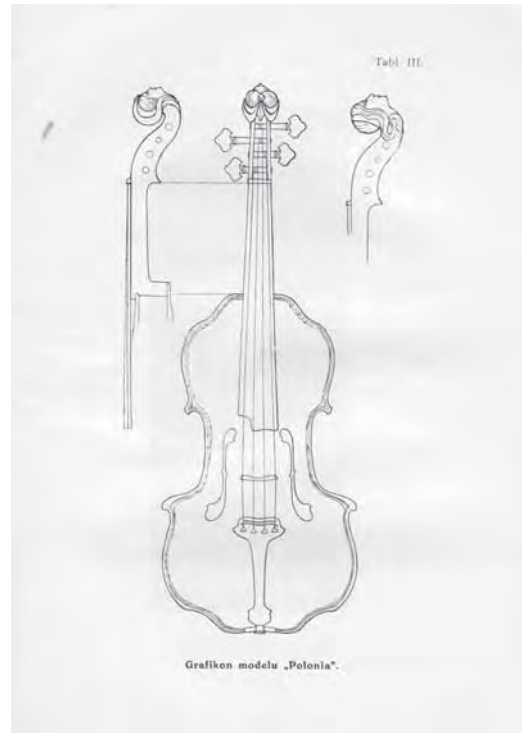


nię, tyle że zamiast piasku wszędzie rośla trawa. Rodzice zatrzymali się w zapadłej wiosce, której mieszkańcy byli ciemnymi, nieobliczalnymi ludźmi. Każdego ranka ojciec znikał, aby prowadzić pomiary, pozostawiając matkę na całe dnie samą, wydaną na pastwę strachu przed bandytami i złodziejami. Aby zabić nudę i lęk, grała na skrzypcach, a muzyka Bacha, Beethovena, Mozarta i Mendelssohna płynęła majestatycznie po pustych stepach.

Był to dość niezwykły początek małżeństwa. Rodzice pokrzepiali się na duchu myślą, że zarobią dużo pieniędzy i przywiozą je do Warszawy. Ale moja matka szybko zaszła w ciążę i osiem miesięcy później musieli wrócić do domu, gdzie urodził się mój brat, któremu dali na imię Mirek.

Ojciec natychmiast poświęcił się znów swojej namiętności, która zaowocowała zbudowaniem przez niego dwóch kwartetów smyczkowych; pierwszy z nich, model Antica, wzorował na starych instrumentach włoskich, a drugi, Polonia, był jego oryginalnym projektem. Zabrał się również do pracy nad książkami, w których opisywał swoją technikę budowy instrumentów.

To spokojne interludium skończyło się raptownie, kiedy w sierpniu 1914 roku wybuchła pierwsza wojna światowa. Walki były coraz bardziej zacięte, a nad Warszawą latały groźne zeppelin. W tych trudnych warunkach 24 września moja matka urodziła raczej wątłego, ciemnowłosego, ciemnokiego chłopca; mówiono, że wyglądał jak kościsty Cygan, zupełne przeciwieństwo żywego, przypominającego lewka, pięcioletniego Mirka, który miał jasną cerę, płową grzywę i bładniebieskie oczy. Ojciec nie mógł zostać w domu i być świadkiem mojego dzieciństwa.



Model skrzypiec Polonia Tomasza Panufnika

Matylda Panufnik ze skrzypcami skonstruowanymi przez męża



*S. L. Linnell*

KUTNO

Polska w tym czasie podzielona była między Rosję, Prusy i Austro-Węgry i Polaków powoływano do wojsk zaborców w zależności od miejsca zamieszkania, co okazywało się tragiczne w skutkach, gdyż musieli ze sobą walczyć i zabić się nawzajem. Warszawa podlegała carowi i mojemu ojca niezwłocznie zmobilizowano, w randze kapitana, do armii rosyjskiej. Kiedy żegnał się z nami, ani on, ani matka nie przypuszczali, że minie wiele lat, zanim wróci do domu. Podtrzymywała go na duchu myśl, że wojna rychło się skończy. Na froncie przeżył wszystkie możliwe niebezpieczeństwa. Najlepiej zapamiętałem opowieść o tym, jak śmierć minęła go o centymetr, kiedy niemieckie samoloty zrzuciły grad pocisków na jego szarżujący oddział kawalerii. Kiedy tylko mógł, pisał do matki i wysyłał regularnie pieniądze przez neutralny Sztokholm. W 1917 roku wybuchła rewolucja rosyjska, nastał kompletny chaos i straciliśmy z nim kontakt.



Z bratem Mirkiem

Fotografia po lewej: dwuletni Andrzej

Ponieważ pieniądze nie przychodziły, znaleźliśmy się na skraju nędzy. Matka musiała za bezcen sprzedać zachłannemu spekulantowi, który bogacił się na wojnie, znaczny spadek po swoim dziadku – plac w Warszawie. Nawet jeśli miało się pieniądze, nic nie można było kupić, bo podstawowe produkty, takie jak chleb, mleko i mięso, zniknęły z rynku. Zamiast cukru używano sacharyny; moje najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa to zachwyt, kiedy zaczynała syczeć tabletką sacharyny wrzucona do herbaty.

W 1918 roku, po zakończeniu wojny, Polskę uznano za niepodległe państwo. Jednak mój ojciec nadal nie mógł wrócić do domu; utknął jak w pułapce na ziemi niczyjej [okolice Tarnopola na Ukrainie], którą władały terror i bezprawie. W porewolucyjnym zamieszaniu rosyjscy żołnierze, wracający z wojny wyczerpani i zdemoralizowani, dopuszczali się wszelkiego rodzaju przestępstw: plądrowali, rabowali, gwałcili, zabijając





Tomasz Panufnik w Tarnopolu

każdego, kto im wszedł w drogę. Śmierć nieśli ze sobą również bolszewicy, którzy zamierzali wytępić całą inteligencję; zmuszali nawet najbiedniej wyglądających do pokazywania rąk: gładka skóra była przestępstwem, za które groziła kara śmierci.

Pomału ojciec zaczął się sposobić do powrotu do Polski; gromadził porzucone przez rosyjskich żołnierzy motocykle i broń i, jak przystało na patriotę, organizował transport tego sprzętu do Polski dla nowo powstającej polskiej armii. Do Warszawy dotarł w 1919 roku, tuż po Bożym Narodzeniu.

Kiedy któregoś ranka wpadłem do pokoju matki, zobaczyłem w jej łóżku mężczyznę.

– Co to za potwór? – spytałem oburzony. Matka się roześmiała.

– To nie potwór. To twój ojciec! Twój ojciec wrócił do domu!

Nie byłem zachwycony tą wiadomością.

Patrzyłem z gniewem na śpiącą postać i na postrzępiony mundur wiszący na krześle w nogach łóżka.

Gdy nieznamy się zbudził, próbował nawiązać ze mną rozmowę. Spojrzałem milcząco na wychudzoną, zmęczoną twarz i niepewny uśmiech pod starannie przystrzyżonym wąsikiem. Wyczuwając moją rezerwę, wyjął kwadratowe blaszane pudło wypełnione ciemnym dżemem wiśniowym. Obaj z Mirkiem zaatakowaliśmy ten rzadki przysmak gołymi rękami. Do dziś pamiętam niebywałą rozkosz, jaką sprawiało mi zanurzanie całej dłoni w lepkiej masie i wyciąganie boskich wisien. Gest ojca przełamał lody, choć niezupełnie.

W ciągu długich, ponurych lat wojny pasja ojca nie osłabła. Ogarnięty głęboką miłością do ojczyzny, opracowywał w marzeniach patriotyczny plan wskrzeszenia polskich tradycji lutniczych z wykorzystaniem świerków, jodeł i klonów z polskich lasów i wrodzonych zdolności polskich rzemieślników. Uważał, że Polska nie powinna być uzależniona od importu

instrumentów z Niemiec czy Czechosłowacji, bo są to „tandetne pudełka do cygar”. Postanowił stworzyć fabrykę produkującą nie tylko na potrzeby krajowe, lecz również na rynki całego świata. Zainwestował wszystkie swoje oszczędności i całą energię w wyposażenie warsztatów.

Otwarcie nowego przedsiębiorstwa w 1921 roku zapamiętałem na zawsze z powodu pierwszej jazdy samochodem prowadzonym przez wyniosłego szofera w czapce z daszkiem. Krótka przejażdżka była wielkim przeżyciem; połyskliwy mosiądz, dotyk i zapach skórzanych siedzeń podniecały mnie o wiele bardziej niż imponujące nowe budynki i olbrzymie wypukłe litery nazwiska Panufnik na dachu. Niecierpliwie patrzyłem na księdza poświęcającego fabrykę. Chwilowej rozrywki dostarczył mi występ największego polskiego skrzypka owych czasów Stanisława Barcewicza, którego czerwony nos świadczył o długotrwałym zamiłowaniu do kieliszka, a który na instrumencie wykonanym przez ojca cudownie zagrał *Chaconne*



Uroczyste otwarcie fabryki Tomasza Panufnika mającej produkować wysokiej klasy instrumenty smyczkowe



Pracownia lutnicza Tomasza Panufnika

Bacha i inne utwory. (Instrument nie był jeszcze wykończony – nie został polakierowany; był to chwyt reklamowy mojego ojca w celu zademonstrowania niezwyklej jakości tonu jeszcze przed wzbogaceniem go przez położenie lakieru). Po koncercie podawano napoje, po czym nastąpiło niekończące się pozowanie do fotografii. Ciągnęło się to straszliwie. Marzyłem jedynie o powrocie do wspaniałej limuzyny.

Niestety jazda samochodem była bardzo krótka, krótki był także żywot ojcowskiej fabryki. Spółce brakowało kapitału obrotowego, a obiecana pomoc organizacji państwowych nigdy nie nadeszła. Po niespełna roku, ku upokorzeniu ojca, napis „Panufnik” został zdjęty, a fabrykę przejął producent zabawek.

Wszystkie pieniądze, jakie udało się uratować, ojciec ulokował w akcjach lub w antykach. Z powodu opłakanej sytuacji finansowej Polski akcje wkrótce stały się bezwartościowe. Antyki miały niewiele większą wartość i tylko utrudniały nam życie. Nasze mieszkanie było teraz idiotycznie zagracone. Na ścianach od sufitu do podłogi wisiały obrazy,



spod których nie było prawie widać kwiecistych tapet, a ponadto z trudem mogliśmy się poruszać pomiędzy zdobionymi stołami, kanapami i grupkami krzesel, pokrytymi często delikatnym jedwabiem, na których Mirkowi i mnie zabraniano siadać. Na ciężkich mahoniowych skrzyniach poustawiano srebrne tace. Porcelanowe figurki, talerze, dzbany i kryształowe wazy stały niepewnie na wszystkich wolnych miejscach, musieliśmy więc trzymać łokcie przy sobie, żeby ich nie trącić. Nasze uszy były atakowane przez dźwięki co najmniej tuzina starych zegarów, które były mniej więcej co godzinę, ale nigdy jednocześnie, zatem brzmiało to tak, jakby prowadziły ze sobą gorączkową rozmowę. Ponieważ cała powierzchnia podłogi była zajęta, ojciec zaczął gromadzić mniejsze przedmioty, takie jak zegarki i pozytywki. Rozśmieszałem Mirka, mówiąc, że skoro ojciec zbiera tyle rupieci, to jest śmieciarzem.



Andrzej w wieku dziewięciu lat

Trudniej było sprzedawać antyki niż je kupować i wkrótce znaleźliśmy się w poważnych kłopotach finansowych. Ojciec musiał wziąć posadę w Ministerstwie Rolnictwa znów jako inżynier. Oczywiście nie potrafił zrezygnować z budowania skrzypiec. Znowu prowadził życie jak za czasów kawalerskich: dzień w biurze, a wieczór, czasem noc – w pracowni.

Miałem wówczas około ośmiu lat. Prawie nie widywałem ojca ani matki, która, jak zawsze pochłonięta muzyką, całymi godzinami ćwiczyła na skrzypcach, wieczorem zaś improwizowała na fortepianie. Zajęcia domowe ją nużyły, nie lubiła także pogaduszek z przyjaciółkami. Musiała czuć się głęboko zawiedziona, że jej muzyka pozostawała zamknięta w czterech ścianach domu. Publiczne występy nie wchodziły w rachubę, chociaż jej gra zyskałaby bez wątpienia powszechne uznanie. Przeszkodą były nie tylko jej nerwowe usposobienie i trema (gdyż tę mogłaby przezwyciężyć), ale przede wszystkim snobizm, którego ostrze kierowało się wówczas przeciwko muzykom (i wszelkiej artystycznej profesji). Najmniejsze ambicje w tym kierunku spotkałyby się z poważnym sprzeciwem rodziny, mimo że babcia była dumna z talentu swojej córki.

W dzieciństwie nigdy świadomie nie słuchałem grania matki, ale rozbrzmiewało ono ciągle w moich uszach, stanowiło tło muzyczne, było częścią mego życia. Znałem na pamięć koncerty Beethovena, Mozarta i Brahmsa, jak również Bacha i współczesną muzykę polską takich kompozytorów, jak Wieniawski i Karłowicz. Muzyka była w moim życiu czymś tak naturalnym jak czyszczenie zębów, jedzenie posiłków, a nawet oddychanie.

Kiedy matka nie ćwiczyła, była zawsze zagłębiona w lekturze. Jeśli wychodziła ze mną na spacer, szliśmy zwykle do prywatnej biblioteki niedaleko domu, prowadzonej przez miłą ciemnowłosą Żydówkę o pięknej, owalnej twarzy, która przypominała mi Matkę Boską Częstochowską z obrazu wiszącego nad łóżkiem rodziców.

Byłbym bardzo samotny, gdyby nie moja anielska babcia. To ona odprowadzała mnie wcześniej rano do przedszkola, sprawdziwszy przedtem, czy mam w tornistrze owoce i ciasteczka na drugie śniadanie, i zabierała na obiad. To ona wychodziła ze mną na spacer, najczęściej do pobliskiego parku. Prawie zawsze siadaliśmy na tej samej ławce pod ogromnym drzewem i rozmawialiśmy, a czasami zabawialiśmy się w gry słowne. Kiedy była zmęczona, zaczynała czytać i oczekiwała, że i ja zajmę się książką. Ale mnie nie interesowały historyjki dla dzieci. Woląłem własne myśli i obrazy podsuwane przez wyobraźnię. Siedziałem obok babci na ławce i przyglądałem się liściom i gałęziom kołyszącym się nad głową. Fascynowała mnie zmienność kształtów przypominająca improwizowane układy tajemniczego rytualnego tańca.

Czasami podchodził jakiś chłopiec i w oficjalnej formie przyjętej w owym czasie pytał:

– Czy zechce panicz pobawić się ze mną?

Ale ja nigdy nie chciałem. Byłem absolutnie szczęśliwy, gdy mogłem, przytulony do babci, obserwować drzewa i chmury.

Babcia była zawsze ożywiona i zabawna, czytała dużo po francusku i niemiecku, jak również po polsku i miała ogrom praktycznej wiedzy, mądrości i poczucie humoru. Wszyscy w rodzinie ją uwielbiali; nawet miejscowi sklepikarze witali babcię ze szczególną atencją, gdyż cenili jej urok, uprzejmość i dostojny sposób bycia. Dokądkol-



Babcia Henryka Thonnes

wiek szła, chciałem jej towarzyszyć, odczuwać aurę jej osobowości, dobroć i miłość, które z niej promieniowały. Moje pierwsze doświadczenia religijne nie wypływały z ciekawości ani z nacisku rodziców, ale wynikały stąd, że pewnego popołudnia nie mogłem rozstać się z babcią. Mimo że ojciec był człowiekiem religijnym i wyznawał surowe zasady moralne, nie chodził do kościoła i nic mi nie mówił o katolicyzmie. Nawet babcia nie pomyślała o tym, by mi wyjaśnić pierwsze nabożeństwo, w którym uczestniczyłem, więc wydawało mi się bardzo zagadkowe, dlaczego ksiądz odwraca się do nas plecami, mówi do siebie w niezrozumiałym języku, a od czasu do czasu wykonuje osobliwe ruchy podniesionymi dłońmi. Ale podobało mi się to, skoro podobało się babci.

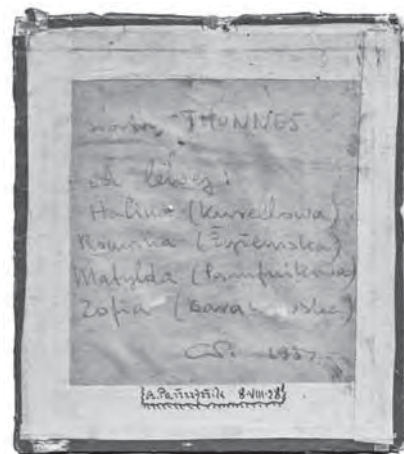
Choć już była po sześćdziesiątce, pozostawała piękna i bardzo zadbana. Srebrne włosy układała zawsze we wspaniałą kok na czubku głowy, przytrzymywany szylkretowym grzebieniem wyrzeźbionym w misterne, widoczne pod światło wzory. Nieczuła na zmieniającą się modę lat dwudziestych, ubierała się spokojnie i elegancko, zawsze na czarno. Nosiała czarne jedwabne bluzki z długimi rękawami i wysokim kołnierzykiem, długie czarne spódnice, czarne pończochy i czarne pantofle. Kiedy wychodziła, wkładała czarny kapelusz i czarne rękawiczki, nawet latem, jak gdyby narzuciła sobie wieczną żałobę. Ale miała nadzwyczaj łagodny i spokojny wyraz twarzy. Nigdy nie wydawała się smutna, zdenerwowana czy zirytowana, lecz zawsze była pogodna i spokojna – choć miała prawo być zgorzkniała, bo nie brakowało w jej życiu chwil tragicznych.

W wieku osiemnastu czy dziewiętnastu lat wyszła za mąż za Jana Thonnesa, młodego kupca, pół Anglika, pół Polaka. Mieli pięcioro dzieci, jedno tuż po drugim: cztery córki (z których moja matka była najmłodsza) i na koniec syna. Jednak małżeństwo zaczęło się psuć. Jan Thonnes rozpił się, jego interesy szły źle, wreszcie stał się alkoholikiem i często nie wracał na noc do domu. Wkrótce mojej babce zabrakło pieniędzy, by wyżywić dzieci.

Jej ojciec Antoni Szuster, samotnie żyjący wdowiec, nie mógł znieść cierpienia córki. Pewnego dnia zabrał ją wraz z dziećmi do swego ładnego domu na Mokotowie. Gdy Jan Thonnes wrócił do mieszkania po pijackiej nocy i zobaczył, że wszyscy odeszli, zażył śmiertelną dawkę trucizny.

Potem zdarzyła się druga tragedia: jedyny syn babci, najmłodsze dziecko, połknął pestkę od śliwki i wkrótce zmarł. (Lekarze stwierdzili, że pestka utknęła w ślepej kiszce).





Mała Matylda w otoczeniu swoich sióstr;  
na rewersie zdjęcia – ich imiona

Być może z powodu straty syna byłem dla niej pociechą, a ona – moim życiowym oparciem. Nie chcę przez to powiedzieć, że rodzice zupełnie nie interesowali się moim wychowaniem, bo stanowiło ono nawet czasem temat sprzeczek. Kiedy matka wynurzała się ze swej muzyki i książek, była czuła, opiekuńcza i bardzo wyrozumiała, gdy grymasiłem przy jedzeniu.

Od wczesnego dzieciństwa miałem uprzedzenia do pewnych potraw; wyrażałem żywe zadowolenie, gdy jedzenie było dobre, i niepohamowane obrzydzenie, gdy coś mi nie smakowało. Polska kuchnia zna ogromną różnorodność zup i wiele znakomitych rybnych i mięsnych dań, ale jest w niej parę upiornych specjalności, jak obrzydliwe flaki, przygotowująca o młodości słodka zupa owocowa i ohydna czernina z gęszej krwi. Nigdy nie jadaliśmy delikatnej jagnięciny, tylko tłustą baraninę. Największy wstręt budziła u mnie potrawa, która była dumą naszej kucharki: tłusty kotlet wieprzowy z kapustą i ziemniakami sowiec kraszonymi słoniną. (To wspomnienie nadal przyprawia mnie o młodości!)

Moja łagodna matka, wiedząc o tym, prosiła służącą o przygotowywanie dla mnie czegoś nietłustego. Jednak ojciec, widząc osobne

dania, krytykował matkę za rozpieszczanie mnie.

Pewnego dnia zapytał gniewnie:

- Dlaczego nie jesz tego, co wszyscy? Spójrz na mnie, ja jem wszystko!
- Tylko świnię jedzą wszystko... – odpowiedziałem.

Zapadła cisza jak przed burzą, a potem też nie padło ani jedno słowo. Po raz pierwszy ojciec nie wiedział, co odpowiedzieć.

Często wieczorami matka siadała do fortepianu i improwizowała. Swoje wyszukane melodie wypróbowała w różnych tonacjach, instynktow-

nie dobierając subtelny akompaniament. Pewnego razu ojciec, słuchając z Mirkiem i ze mną przez ścianę, jak mama pracuje nad szczególnie przyjemnym dla ucha fragmentem, wyraził żal, że nie umie ona zapisywać swych kompozycji dla potomności. Postanowił poszukać jej muzycznego sekretarza.

Udało mu się znaleźć nauczyciela z Konserwatorium Warszawskiego, młodego muzyka i kompozytora, którego wizyty w naszym domu wkrótce stały się dla mnie bardzo ważne. Gdy siadał przy stole niedaleko fortepianu, obserwowałem go z bliska, zachwycając się magiczną umiejętnością zapisywania nut ze słuchu, bez patrzenia na palce grającej matki. Byłem również pod dużym wrażeniem posiadanego przez niego bardzo nowoczesnego jak na owe czasy modelu pióra wiecznego. Przed użyciem musiał zdjąć nasadkę i przykręcić ją z drugiej strony pióra, wówczas w cudowny sposób pojawiała się stalówka.

Pewnie właśnie wtedy, gdy patrzyłem na niego i słuchałem matczynych improwizacji, rozbłysła pierwsza żywa iskra mojego pragnienia, by zostać kompozytorem. Jeśli nie było nikogo w pobliżu, ukradkiem siadałem do fortepianu i próbowałem różnych melodii i akordów.

Młody profesor muzyki Jerzy Lefeld był szczupły i wysoki, miał długie ręce i wyjątkowo długie palce, zawsze lodowate, co zauważyłem przy podaniu ręki. Nieustające przeziębienie sprawiało, że często wycierał hałaśliwie nos w chustkę, przesuwając przy tym małe, oprawione w srebro okulary na delikatnie zarysowanym nosie. Miał szlachetną, dosyć ładną twarz i ciemne włosy ostrzyżone na jeża. Niezwykle uprzejmy, zawsze zwracał się do wszystkich bardzo oficjalnie i był tak nieśmiały, że zastanawialiśmy się z Mirkiem, czy kiedykolwiek się ożeni. Czy zdobędzie się na odwagę, by się oświadczyć. (Byliśmy zdumieni, gdy w końcu usłyszeliśmy o jego zaręczynach).

Lefeld był tak wyjątkowo miły i grzeczny, że czułem się zaskoczony, słysząc pewnego dnia jego głośną kłótnię z ojcem. Dowiedziałem się później, że ojciec nalegał, chcąc mu zapłacić za pracę, podczas gdy on uparcie odmawiał przyjęcia pieniędzy. Był powściągliwy, ale miał silniejszą wolę od ojca; jedynym sposobem odwdzięczenia się za pomoc było



Jerzy Lefeld

częste zapraszanie go do nas. Podawano wówczas wyjątkowo smaczne posiłki. Nazywałem je obiadami „Lefeldowymi” i nic nie mogło mnie odwieść od tego, bym którykolwiek opuścił. Jeśli wówczas ktoś by mnie spytał, jaki zawód chciałbym wykonywać, gdy dorosnę, odpowiedziałbym bez wahania: „Chcę być Lefeldem!”.

Marzyłem, że nie tylko posiadę tajemniczą umiejętność zapisywania melodii z pamięci, ale że będę również zdolny zapisywać swoją muzykę wprost z wyobraźni jak prawdziwy kompozytor.

Gdy zwierzyłem się babci z moich nowych ambitnych zamiarów, natychmiast zaproponowała praktycznie:

– Najpierw musisz się nauczyć gry na fortepianie. Mogę ci pomóc, jeśli chcesz.

Zgodziłem się z przyjemnością.

Ponieważ nasze zajęcia przeszkadzałyby mamie w ćwiczeniu gry na skrzypcach, wydawało się rozsądne, by lekcje odbywać poza domem, więc zaczęliśmy rozglądać się za instrumentem. Wkrótce babcia znalazła fortepian u właściciela sklepiku z pasmanterią, na zapleczu, i wynajęła go na trzy godziny tygodniowo. Właściciel, niesłychanie uprzejmy, zawsze zwracał się do mnie per mistrzu, co uznałem za bardzo pochlebne, jako że miałem osiem lat i dopiero zaczynałem grać. Jego ładna siedemnastoletnia córka również mi nadskakiwała, a ja zawsze śpieszyłem się, żeby ją zastać.

Na początku lekcje nie szły mi dobrze. Być może byłem rozczarowany, że nie mogę od razu grać takiej muzyki, jaką słyszałem w domu, a może po prostu zbyt leniwy, babcia zaś zbyt dobra, by wiele ode mnie wymagać. O mało nie dałem za wygraną. Aby nie zrezygnował, babcia musiała przekupywać mnie czekoladowymi cygarami.

Jakiś czas po moich dziewiątych urodzinach poprosiłem babcie o takie samo pióro wieczne, jakie miał profesor Lefeld. Nie musiała zadawać pytań, żeby domyślić się w czym rzecz. Gdy tylko dostałem pióro do ręki, znalazłem papier i zacząłem pisać nuty na pięciolinii. Najpierw próbowałem kopiować drukowane utwory muzyki fortepianowej, zwłaszcza moje ulubione proste kompozycje Mozarta. Następnie spróbowałem zapisać własną improwizację i, walcząc zawzięcie, w końcu ją zanotowałem.

Moja pierwsza kompozycja, ambitnie nazwana *Sonatiną*, nie została oczywiście ułożona według klasycznych wzorów, lecz była to prościutka melodia na prawą rękę z kilkoma akordami dla lewej. Jednakże te niepo-

radne początki podtrzymały moją wiarę w to, że zostanę kompozytorem. Patrząc z satysfakcją na ćwierćnuty i ósemki, myślałem o polskim przysłówku „Nie święci garnki lepią”.

Ponieważ nadal nie chciałem przeszkadzać matce swoimi ćwiczeniami fortepianowymi, musiałem znaleźć inne zajęcie, żeby wypełnić wolny czas. Nasze mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze, a okna wychodziły na kwadratowe podwórko z okrągłym, nędznym trawnikiem pośrodku, kilkoma białymi kwiatkami latem i zawsze nieczynną fontanną. Tę małą przestrzeń dzieliliśmy z licznymi sąsiadami i nie zachęcano dzieci, by się tam bawiły; tak więc wiele czasu spędzałem samotnie na balkonie, nad podwórkiem, patrząc na dachy i kominy naprzeciwko, na niebo, na którym zdarzało mi się podziwiać zdumiewające akrobacje wojskowych samolotów.

Latające maszyny były moją wielką pasją – wtedy większą nawet niż muzyka. Marzyłem o posiadaniu na własność modelu samolotu. Prawie wcale nie miałem zabawek, bo ojciec uważał, że nie są potrzebne, tak samo jak nie zgadzał się na kupowanie mi ubrań, gdyż twierdził, że powinienem donaszać stare po bracie. Wstydziłem się więc, kiedy inne dzieci paradowały w nowych, pięknych strojach lub gdy chciały obejrzeć moje zabawki, bo nie miałem co im pokazać.

Jednak z perspektywy czasu myślę, że brak gotowych zabawek był dla mnie bodźcem pobudzającym wyobraźnię twórczą. W każdym razie nigdy się nie nudziłem. Próbowalem robić samoloty z różnych domowych resztek, aż pewnego dnia, ku mojej radości, dowiedziałem się o istnieniu sklepu o szwedzkiej nazwie Slöjd, który sprzedawał materiały rzemieślnicze, łącznie z gliną, plasteliną i balsą, idealnie lekkim drewnem, oraz przezroczystym pergaminem doskonałym na skrzydła. Całymi godzinami rysowałem samoloty, wycinałem je i kleiłem. Wreszcie udało mi się skonstruować napędzane naciągniętą gumą modele, które mogły latać: śmigaly ze świstem w powietrzu.

Często marzyłem na naszym balkoniku, czekając na następne samoloty wojskowe i zachwycając się kształtami chmur przepływających po niebie: wydawało się, że nakładają się na siebie jak ruchome rzeźby w niezliczonych odcieniach szarości. Chwilami kapryśnie przemykały przez idealnie niebieskie niebo, innym razem stawały się ciemnoszare, prawie czarne, zapowiadając deszcz.

Balkon służył mi też za szkołę życia; z mojego punktu obserwacyjnego dowiedziałem się wiele o naszych sąsiadach.



Naprzeciwno naszego mieszkania, na czwartym piętrze, mieszkał pułkownik kawalerii z żoną, służącą i najciekawszym domownikiem – ordynansem – młodym służącym, przebranym w mundur chłopem. Od czasu do czasu widywałem pułkownika kroczącego we wspnianym mundurze, z szablą u boku, w błyszczących ostrogach. Nieszczęsnego ordynansa mogłem oglądać o wiele częściej, jako że biegał na podwórko i z powrotem z trzech ważnych powodów: po pierwsze do ubikacji mieszczącej się na zewnątrz, bo nie miał prawa używać ubikacji pułkownika; po drugie, aby palić papierosy, bo to też było w mieszkaniu zabronione; a po trzecie, by tak długo czyścić buty do konnej jazdy, których pułkownik miał co najmniej pół tuzina, aż twarz ordynansa odbijała się w nich jak w lustrze. Oficerowie polskiej kawalerii byli tradycyjnie lekko zwariowani na punkcie wyglądu własnego i swoich koni, był to rodzaj fanatyzmu, na który zwykli śmiertelnicy patrzyli z mieszaniną podziwu i ironii.

Pod pułkownikiem mieszkała rodzina żydowska. Córka ciągle grała na fortepianie przy otwartym oknie, przeszkadzając mojej matce w ćwiczeniach skrzypcowych, gdyż powtarzała w kółko tę samą etiudę Chopina. Nagle pewnego dnia z otwartego okna dobiegła hałaśliwsza muzyka i śpiew: świętowano wesele córki i potem nigdy już nie usłyszeliśmy *Etiudy cis-moll*. Brakowało mi jej.

Pod żydowską rodziną, na drugim piętrze, często widywałem studenta szkoły aktorskiej, gwałtownie gestykującego, ćwiczącego role na całe gardło, co sprawiało dosyć przerażające wrażenie. Czasem jego aktorskie popisy zaskakiwały mnie i myślałem, że popełniono morderstwo. Nie odnosił sukcesów w swym zawodzie i pewnego dnia próbował popełnić samobójstwo – również bez powodzenia. Odwieziono go do szpitala, skąd po trzech miesiącach powrócił jako blady i załamany człowiek, którego milczenie miało w sobie coś niesamowitego. Potem nastąpiła kolejna tragedia, którą ogromnie się przejąłem: jego matka popełniła samobójstwo, wieszając się na łańcuchu do spuszczenia wody – z tym że jej się powiodło. Nie pamiętam, jak ta wiadomość do mnie dotarła, ale widziałem, jak przez podwórko niesiono trumnę.

Na pierwszym piętrze mieszkał stary kawaler, emerytowany urzędnik, który również spędzał dużo czasu, brzdąkając na kiepskim, starym fortepianie. Ciekawe, że on również miał tylko jeden utwór w swoim repertuarze, *Menueta* Paderewskiego; grał go z wielką pasją i kompletnie bez wycucia. Wkrótce znieawidziłem ten utwór, chociaż uczono mnie

w szkole, że powinienem podziwiać jego twórcę, sławnego pianistę i nowo wybranego premiera wolnej Polski.

Ostatecznie fortepian zamilkł, gdyż urzędnika wyrzucono z mieszkania za niepłacenie komornego. Ponieważ nie miał on dokąd pójść, zagnieździł się na podwórku z całym dobytkiem składającym się głównie z książek. Cały dzień przekładał zakurzone tomy z półki na półkę, obsesyjnie usiłując ustawić je w dawnym porządku, przerywając pracę tylko po to, żeby zagrzać herbatę na prymusie. Ponieważ nie miał ani przyjaciół, ani rodziny, matka często posyłała do niego służącą z jedzeniem. Po wielu tygodniach i on, i jego książki, a także maszynka spirytusowa i fortepian zniknęły z podwórka. Nigdy się nie dowiedziałem, co się z nim stało.

Mieszkanie naprzeciwko nas na parterze zajmował administrator budynku – człowiek skromnego pochodzenia, z zawodu pracownik budowlany. Zawsze zwracał się niegrzecznie do naszego stróża, którego to złościło, bo pochodzenie administratora nie było lepsze niż jego. Często, gdy administrator podnosił głos, próbując traktować stróża jak niewolnika, ten odpłacał mu się pięknym za nadobne, ale dosyć lekko, bo mógł sobie zaszkodzić.

Niekończący się strumień odwiedzających nasze podwórko dostarczał mi rozrywki przez cały dzień. Szklarze, noszący ze sobą woreczki z kitem i dźwigający na plecach tafle szkła, dawali o sobie znać charakterystycznym pokrzykiwaniem, tak dźwięcznym, że próbowałem wkomponować je do swoich improwizacji. Żydowscy przekupnie wołali: „Handel-handel-handel!”, co oznaczało, że skupują stare ubrania, które następnie wiazali w wielkie toboły i zarzucali sobie na plecy. Cyganki w kolorowych sukniach wpychały się natrętnie, proponując wróżby. Moim ulubieńcem był grajek uliczny wykonujący groteskowy taniec, do którego przygrywał sobie na organkach, równocześnie uderzając łokciami w bębenek i czynele oraz brzęcząc maleńkimi dzwoneczkami u nóg, które stanowiły część jego pstrokatego ubioru. Byłem oczarowany, ale podpatrywałem go z przestrahem, stojąc w drzwiach i starając się unikać jego spojrzenia, ponieważ słyszałem, że uliczni grajkowie porywają dzieci, aby wyuczyć je swego zawodu i na nich zarabiać.

Gdy miałem dziesięć lat, rodzice, mimo że ciągle borykali się z kłopotami finansowymi, zdecydowali się posłać mnie do najlepszego gimnazjum nazwanego imieniem założyciela Lorentza. Co rano wychodziłem z tornistrem na plecach, dumnie obnosząc nowy, granatowy mundur

ozdobiony dwoma jasnoniebieskimi paskami na rogach kołnierza oraz granatową rogatywkę z jasnoniebieską wstążką i sztywnym skórzanym daszkiem, odróżniającą się tylko kolorem od tradycyjnych polskich czapek wojskowych. Szkoła znajdowała się w budynku mieszkalnym i zajmowała całe czwarte piętro. Było tam zawsze zadziwiająco czysto. Zapach politory jeszcze teraz przychodzi mi na myśl te drewniane biurka i krzesła, i wspomnienie serdecznych, pełnych zapału nauczycieli, którzy potrafili nawet najnudniejszy przedmiot uczynić fascynującym.

Jeden z nauczycieli, ojciec Kaim, był tym księdzem, który poświęcił nieszczęsną fabrykę mego ojca w dniu jej otwarcia. Wrył mi się w pamięć dzięki swej namiętności do cygar; zawsze palił je po niedzielnej mszy świętej w miejscowym kościele, do którego powinni uczęszczać wszyscy uczniowie gimnazjum Lorentza. Kościół nas nudził, zwłaszcza kazanie, z którego często próbowaliśmy się urwać (zwykle bez powodzenia). Ale szkoła przebiegle organizowała po mszy pokazy filmowe; wyświetlano komedie z Laurelem i Hardym, Charliem Chaplinem czy Busterem Keatonem, które uwielbiałem. Były to filmy nieme, więc często starsi chłopcy akompaniowali na fortepianie, starając się zsynchronizować muzykę z akcją na ekranie; podziwiałem ich za tę umiejętność i bardzo pragnąłem móc z nimi rywalizować.

Wkrótce rozpoczęły się przygotowania do Pierwszej Komunii Świętej i musiałem zacząć traktować religię z większą powagą. Cieszyłem się z tego, lecz gdy nadszedł moment pierwszej spowiedzi, mój zapał gwałtownie ostygł. Wyjątkowo surowy, prawie rozżłoszczony ksiądz zaczął mi zadawać pytania, starając się skłonić mnie do wyznania grzechów, o których nigdy nie słyszałem, nie mówiąc już o pokusie ich popełnienia: czy próbowałem całować dziewczyny, czy starałem się wkładać im rękę pod spódnicę. Byłem zbyt nieświadomy i niewinny, by mogło mi to przyjść na myśl. Speszony tą formą nacisku, od tej pory unikałem spowiedzi.

Zanim skończyłem jedenaście lat, babcia nauczyła mnie już tyle, że mogłem z nią grać na fortepianie dość trudne duety klasycznych kompozytorów. Natomiast nie chciało mi się ćwiczyć, wolałem improwizować i zapisywać swoje kompozycje niż poświęcać czas na systematyczną naukę.

Nikt w rodzinie, nawet babcia, nie zachęcał mnie do traktowania muzyki jako czegoś więcej niż składnika ogólnego wykształcenia i kultury. Po raz pierwszy pomyślałem o poważniejszym studiowaniu muzyki

dopiero wtedy, gdy jeden z kolegów szkolnych zaprosił mnie, bym posłuchał jego gry na skrzypcach podczas koncertu najmłodszych roczników Konserwatorium Warszawskiego. Byłem oczarowany wirtuozerią jedenastoletniego kolegi, jego niemal diaboliczną władzą nad instrumentem. Nie wiedziałem, że ktoś tak młody może uczęszczać do konserwatorium, i natychmiast zapytałem matkę, czy i ja mógłbym tam się uczyć.

Matce bardzo się spodobał mój nowy pomysł, ojcu – nie.

– Muzyka – powiedział – to nie jest zawód dla dżentelmena.

Matka zwycięsko broniła mojego pomysłu, przypominając mu, jak lubił słuchać moich duetów z babcią, i rzeczowo zauważyła, że pobieranie lekcji muzyki w konserwatorium w wieku jedenastu lat nie przesądza o zawodzie. Następną przeszkodą było przesłuchanie. Nigdy nie grałem dla nikogo poza wąskim kręgiem rodzinnym. Teraz trząsałem się ze strachu, czekając w małej salce konserwatorium na swoją kolej w tłumie pozornie pewnych siebie rywali, którym towarzyszyli rozgorączkowani rodzice. Członkowie komisji egzaminacyjnej zasiedli z ponurymi minami przy stole w pobliżu podium.

Kiedy słuchałem zaskakująco słabej gry innych dzieci, stopniowo nabierałem pewności siebie. Nagle wywołano moje nazwisko. Owładnął mną strach, gdy wchodziłem na podium, ale wziąłem głęboki oddech i zanurzyłem się w *Poemacie* Fibicha.

Po kilku sekundach usłyszałem dochodzący z sali oburzony szept któregoś z zazdrosnych rodziców:

– Patrzcie na niego, używa pedału!

Ktoś chciał zachwiać moją pewność siebie, sugerując, że mam zbyt wysokie mniemanie o swoich możliwościach. Grałem jednak dalej, koncentrując się nie tylko na precyzji technicznej, lecz również na odczuwaniu muzyki. Wróciłem na miejsce przekonany, że zostanę przyjęty. Nie omyliłem się.

Moim profesorem fortepianu była w konserwatorium panna Comte-Wilgocka. Jej matka była znaną polską śpiewaczką, a ojciec Francuzem. Drobne, subtelne rysy mojej nauczycielki i czarne włosy sprawiały, że wydawała mi się oszałamiająco piękna, i sądziłem, że wszystkie Francuzki wyglądają jak ona. Ubierała się ślicznie i używała delikatnych perfum, zupełnie niepodobnych do polskich słodkich pachnideł kwiatowych. Zawsze pozdrawiała mnie przyjaznym uśmiechem, dawała mi odwagi, była cierpliwa i nie szczędziła swojego czasu. Nasze



dwie lekcje tygodniowo sprawiały mi wielką radość i szybko poczułem, że robię postępy.

Ale ponieważ nie była dyplomowaną nauczycielką, tylko zaawansowaną studentką konserwatorium, pozostawała pod opieką swego profesora, szczególnie niemilego osobnika, którego obecność na lekcjach, dwa razy w miesiącu, stała się dla mnie koszmarem.

Profesor ten, Wiktor Chrapowicki, zaledwie dwudziestoparoletni, był chudy, miał czarne wąsy i długie opadające włosy à la Paderewski. Jego bladą twarz pokrywały plamy; odnosiłem wrażenie, że gdybym ukuł go szpilką, wytrysnęłaby jasnozielona krew. Zawsze miał minę, jakby był czymś rozzłoszczony, ale mówił mało. Gdy wreszcie coś powiedział, odnosiło się wrażenie, że puściła kłapa bezpieczeństwa: nagle wybuchał strumieniem szybkich, gniewnych, często niezrozumiałych słów.

Kiedy grałem, niespodziewanym, szybkim uderzeniem spychał moje ręce z klawiatury i kładł swoje serdelkowate białe paluchy na klawiszach, by pokazać mi właściwe ułożenie ręki. Krytykował przy mnie ordynarnie nieszczęsną młodą nauczycielkę, wyrzucając jej, że jest za mało wymagająca, że sama chyba zapomniała zasad techniki fortepianowej.

Nienawidził mnie, nienawidził jej, ale szybko zorientowałem się, że nienawidził wszystkich. Był, co odkryłem później, bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Zapowiadał się na wybitnego pianistę koncertowego, ale swego czasu został tak bezlitośnie wyszydzony przez pewnego warszawskiego krytyka muzycznego, że porzucił karierę. Od tej pory poświęcił się podkopywaniu wiary w siebie uczniów klasy fortepianu.

Wszyscy młodszy uczniowie konserwatorium musieli również uczęszczać na lekcje teorii muzyki, szczególnie solfeżu: odczytywać linię melodyczną, śpiewać poszczególne nuty (do, re, mi itd.), dyrygując jednocześnie samym sobie, aby utrzymać rytm. Jedyną pomoc nauczyciela polegała na tym, że zanim uczeń zaczął śpiewać, podawał mu na kamertonie dźwięk „a”.

Na początku lekcje te były dla mnie trudne, a nawet zniechęcające, gdyż nauczyciel sygnalizował każdy błąd głośnymi uderzeniami ołówka o blat stołu, ostro nakazując rozpoczęcie od początku. Stopniowo jednak przyzwyczaiałem się do tego i nawet polubiłem te ćwiczenia.

Ponieważ coraz więcej czasu zacząłem poświęcać muzyce, musiała na tym ucierpieć nauka szkolna. Miałem kłopoty w gimnazjum, więc usiłowałem odrabiać dodatkowe zadania domowe, by ugłaskać nauczycieli, ale

kończyło się to zwykle powrotem do muzyki. Doprowadzało mnie to do rozpacz i potwornego zmęczenia.

Właśnie w tym trudnym momencie, chociaż bardzo wyczerpany, musiałem poddać się decydującej próbie – corocznemu egzaminowi w konserwatorium na zakończenie roku szkolnego. Występowaliśmy w głównej sali koncertowej pod okiem jury, przy licznej publiczności składającej się z nauczycieli, rodziców i przyjaciół.

Kiedy wszedłem zdenerwowany do wielkiej sali, gdzie zgromadzili się koledzy z rodzinami, ujrzałem zatrważający widok. Na wielkiej estradzie stał olbrzymi fortepian koncertowy. Obok ustawiono długi stół przykryty zielonym sukniem, z dwiema karafkami wody i co najmniej tuzinem szklanek. Przy tych szklankach zasiadła komisja egzaminacyjna; wśród jej członków rozpoznałem słodką, uspokajającą twarz mojej nauczycielki i gniewne, wyzywające spojrzenie profesora Chrapowickiego. Innych egzaminatorów widziałem po raz pierwszy, z wyjątkiem kompozytora Karola Szymanowskiego, którego rozpoznałem z fotografii, a który teraz ponuro kiwał głową wspartą na ręce. Wyglądał na zmęczonego i śmiertelnie znudzonego.

Byłem tak przerażony, że prawie nie słyszałem gry kolegów. Wreszcie wywołano moje nazwisko i zmusiłem się do wejścia na estradę. Siadłem przy wielkim fortepianie i spojrzałem pytająco w stronę stołu, spodziewając się sygnału do rozpoczęcia, ale widziałem tylko Chrapowickiego, który patrzył na mnie tak, jakby chciał utopić mnie w łyżce wody.

Doznałem przerażającego ataku tremy, nagle zrobiło mi się gorąco, oblał mnie pot, aż moje palce ślizgały się po całej klawiaturze. Poszczególne nuty jakby odrywały się ode mnie i nie chciały brzmieć tak, jak zamierzałem je zagrać. Zbyt wcześnie usłyszałem końcowy dźwięk dzwonka, którym członek komisji egzaminacyjnej dawał znać: „Dość!”. Uciekłem na swoje miejsce koło mamy.

Kilka dni później zostałem poinformowany, że nie mogę nadal uczęszczać do konserwatorium, ponieważ „nie mam talentu muzycznego”. Byłem załamany.

Matka poszła wprost do profesora Chrapowickiego, by poznać powody mojej porażki, ale odmówił wyjaśnień. Zrozpaczona spytała go:

– Co mój syn ma teraz robić?

Odpowiedział opryskliwym tonem:

– Zamknąć fortepian na zawsze!